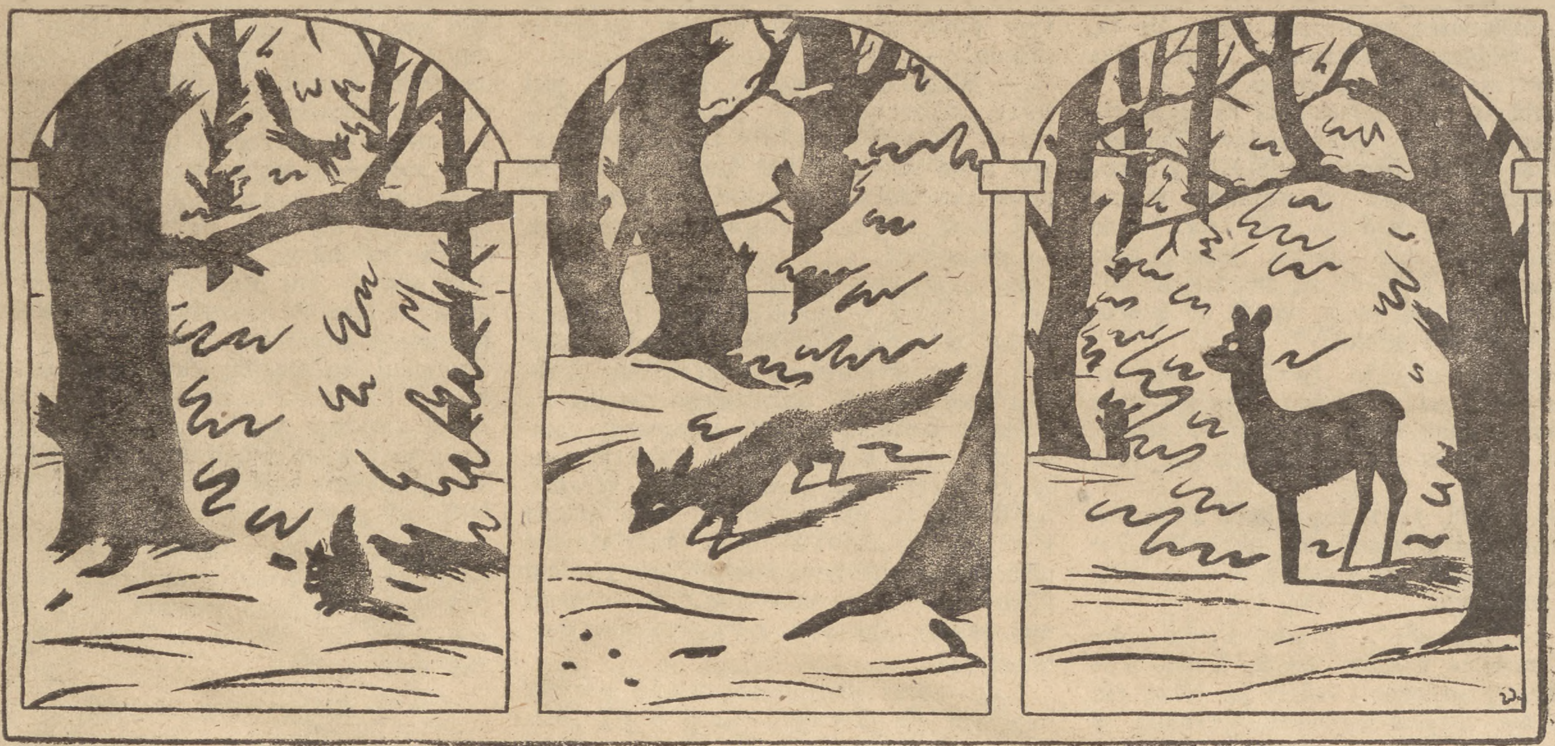
ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



Ranek w lesie

Słońce jeszcze nie wstało, ale cały świat przygotował się już na jego przyjęcie. Mrok powoli wycofał się do lasu, przyczaił się w zaroślach, chował się pod cyple wystających z ziemi wielkich głazów. Ale i stamtąd wyganiał go dzień, który coraz szybciej, coraz gwałtowniej brał ziemię w posiadanie.

Pierwsza obudziła się wrona. Przekręciła głowę na lewo, na prawo, machnęła wielkimi skrzydłami i na cały głos zawołała:

— Krrra!...

Potem strzepnąwszy kruszynki śniegu z piór, poleciała w stronę wsi, gdzie było dużo śmietników i zawsze można było znaleźć coś smacznego na śniadanie.

A tymczasem zza horyzontu wystrzelił pierwszy nieśmiały promyk słońca. Rozsypał się drobniutkimi iskierkami po śnieżnym polu, złocistym pyłem osiadł na oszronionych gałęziach, zajrzał w głąb lasu. I las od razu zagadał, zaśpiewał, zaświergotał. Rojem całym wyleciały z olszyny błękitnoskrzydłe sójki. Zakołowały w powietrzu, zaskrzeczały i pomknęły przed siebie strącając szron z uśpionych drzew.

Smyknął spod krzaka szarak, zostawiając za sobą w głębokim śniegu ciemnoniebieskie jamki. Wyskoczył na ścieżkę, stanął słupka, rozejrzał się dokoła. Potem jakby sobie coś bardzo ważnego przypomniał, dał dwa susy z zarośla i tyle go widzieli.

A na polance skrzącej od śniegu, słońca i lodowych sopelków, cicho, cichuteńko. Słychać tylko jak od czasu do czasu czapa śniegowa z gałęzi się zsunie i z lekkim szmerem na ziemię upadnie.

Trzasnęły suche zmarznięte gałązki, z jedliny posypał się brylantowy deszcz i wśród drzew pokazała się ruda główka sarenki. Patrzyła żółtymi oczkami przed siebie i stała nieruchomo. Potem przekonawszy się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, wyszła powoli i zadzierając główkę do góry zaczęła obgryzać gorzkawą korę drzew.

Przyglądała się ciekawie, ciemnymi pacioreczkami oczu, wysoko na gałęzi zawieszona wiewiórka.

— Cóż to za niezaradne stworzenie! Żeby też wcześniej nie pomyśleć i nie przygotować sobie jakichś zapasów na zimę. Duże zwierzę a niemądre...

Ale sarenka nagle skoczyła w bok i tylko wydeptany śnieg pod drzewem i oddalający się trzask łamanych gałęzi świadczył, że przed chwilą tu była.

— Cóż jej się stało? — zdziwiła się wiewiórka i ciekawie spojrzała w dół.

Ale była przyczyna sarniego strachu. Przez polanę, powoli ciągnąc zmęczone nogi, wracał lis z nocnej wyprawy. Lis większych zwierząt nawet zaczepiać nie próbuje, ale sarnia natura już taka, że byle gdzie szmer posłyszała, już ucieka. I nic dziwnego — cała jej obrona w nogach.

Wiewiórka patrzyła w ślad za lisem, póki nie skrył się w swojej norce, po czym machając wesoło ogonkiem przeskoczyła na drugie drzewo, zbiegła na dół i po chwili znów była na wielkim rozłożystym dębie po przeciwległej stronie polany.

A las już żył i mówił tysiącami głosów i piskiem i gwizdaniem i kuciem, jakby sobie nic nie robił ze srogiej zimy, z trzaskającego mrozu i głębokiego śniegu, który go opatulał od ziemi aż po czubki drzew.

ZŁA ZIMA

Hu! Hu! Ha!
Nasza zima zła!
Szczypie w nosy, szczypie w uszy,
Mroźnym śniegiem w oczy prószy,
Wichrem w polu gna.
Nasza zima zła!

Hu! Hu! Ha!
Nasza zima zła!
Płachta na niej długa, biała,
W ręku gałąź oszroniała,
A na plecach drwa...
Nasza zima zła!

Hu! Hu! Ha!
Nasza zima zła!
A my się jej nie boimy,
Dalej śniegiem w plecy zimy,
Niech pamiątkę ma
Nasza zima zła.

Maria Konopnicka

HELENA BOBIŃSKA

TAJEMNICZY METAL

(Dalszy ciąg opowiadania „Droga do sławy"

Za dnia tajemniczy metal wygląda jak szczypta soli kuchennej. Ale skoro ściemnieje, odrobina proszku w rurce świeci tak silnym światłem, że można przy nim czytać.

Teraz Maria wie, dlaczego trudno było jej wytopić tę malutką kruszynkę radu. Bo w soli uranu zawiera się zaledwie jedna milionowa cząsteczka radu. Ale ta, ledwie widoczna cząsteczka świeci dwa miliony razy silniej od uranu.

Odrobinkę radu w szklanej rurce Maria ofiarowała swemu przyjacielowi Becquerelowi do badań chemicznych. Młody uczony uradowany, zawinął starannie w papier drogocenny podarek i schował go do kieszonki kamizelki. Jakież jednak było zdumienie Marii, kiedy po dwudziestu minutach Becquerel znów wpadł do pracowni czerwony i wściekły.

Zabierzcie sobie to „niesforne dziecko" — krzyczał już od progu, wyciągając z kieszeni szklaną rurkę owiniętą w papier, — zobaczcie, co on mi narobił, ten wasz rad!

Okazało się, że w ciągu tych 20 minut niesforny rad przepalił mu kamizelkę, koszulę i wygryzł sporą rankę w boku młodego uczonego.

Że rad „gryzie", Maria prędko doświadczyła na własnej skórze. Końce palców były poparzone i bolały ją, jakby nie szkło, ale rozpalone żelazo trzymała w ręku. W ogóle po niedługim czasie przekonała się, że rad, choć uwięziony, rządzi się w jej pracowni jak szara gęś. Przede wszystkim farbował na czerwono i na fioletowo wszystkie naczynia, w które go włożono. Wydzielał tyle ciepła, że od razu rozgrzewał każde naczynie. Ale co gorsza, nie tylko sam promieniował, ale tym promieniowaniem zarażał wszystko dokoła.

— Wszystko w naszej pracowni jest teraz radioaktywne — skarżyła się Maria — wszystkie aparaty i próbówki, nawet moje suknie, nawet kurz, nawe samo powietrze. Jakże tu badać ten niesforny rad, kiedy ani przez chwilę nie zachowuje się spokojnie?

Ze wszystkich metali tylko jeden ołów nie przepuszczą promieni radu. I szklaną rurkę, w której znajduje się rad, trzeba było kłaść w ołowiany futerał, aby „gałgan" rad nie palił wszystkiego dokoła.

Młody uczony, Henryk Becquerel, załatał kieszonkę w kamizelce i wyleczył rankę, którą mu wygryzł w boku rad - zdrajca. Ale Becquerel był uczonym, więc przede wszystkim zanotował sobie zadziwiające zachowanie się radu. Maria Curie rozdała kilku uczonym po odrobinie drogocennego metalu dla zbadania oddziaływania promieni radu.

I oto coraz dziwniejsze wieści poczęły napływać do pracowni Marii o jej „niesfornym dziecku": rad nie tylko gryzie — rad leczy — leczy najstraszniejszą chorobę, na którą dotąd medycyna nie znała lekarstwa — rad leczy raka. Wieść ta lotem błyskawicy obiegła cały świat. Badania lekarzy potwierdzały ją co dzień, co godzina. Setki tysięcy chorych na raka czekają na cudowne lekarstwo. Ale jak wydobyć rad, kiedy tylko Maria i Piotr Curie znają tajemnicę wydobycia go? Obojgu uczonym proponują wielką sumę pieniędzy za sprzedanie tej tajemnicy. Maria i Piotr Curie odrzucają tę tajemnicę. Rad jest potrzebny tysiącom chorych. Im prędzej chemicy nauczą się wydobywać go, tym lepiej dla tych chorych. Więc oboje chętnie za darmo będą udzielać wszelkich wskazówek. Ani Maria, ani jej mąż nie myślą o tym, że sprzedanie ich naukowej tajemnicy uwolniłoby ich od pracy profesorskiej, że mogliby cały swój czas poświęcić badaniom naukowym. Muszą teraz nadal zarabiać wykładami i jednocześnie pracować w laboratorium. W tej samej starej szopie Marii Curie udaje się wydobyć cały gram radu.

Ten nowoodkryty metal droższy jest od brylantów. Jeden gram radu kosztuje 750 tysięcy złotych franków. Ten pierwszy gram radu Maria zachowuje dla badań naukowych.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CZARODZIEJSKIE szkiełko FRANKA

Do takiego specjalisty przyszedł Franek pochwalić się swoją soczewką.

— Widzisz jakie ładne szkło znalazłem — powiedział zaraz od progu.

— Pierwszorzędna soczewka — powiedział Heniek biorąc szkło do ręki.

— Czy to jest silne szkło? — zapytał Franek w nadziei, że coś się dowie o tym co to są dioptrie.

Heniek zbliżył się do okna i umieścił soczewkę w słońcu, kartkę papieru ustawił tak, że wypadła na niej znajoma Frankowi jasna plamka — „trzymaj tak" — powiedział do Franka a sam wziął linijkę do ręki i zmierzył odległość soczewki od papieru — „odległość ogniskowa jest 20 cm" — powiedział — „a zatem zdolność zbierająca tej soczewki jest... czekaj... zaraz policzę... jest... jest... pięć dioptrii... tak pięć dioptrii".

— Jak ty to obliczasz? — zdumiał się Franek — bo w sklepie oni to inaczej mierzyli, ale to samo wypadło — pięć dioptrii.

— A ty w ogóle rozumiesz, co to jest dioptria?

— Nie — przyznał się ze wstydem Franek.

— O, to bardzo trudna rzecz, ale tylko uważaj dobrze, to już ja ci tak wytłumaczę, że zrozumiesz.

Heniek wziął ołówek.

— Narysujemy sobie najpierw soczewkę — mówił — ale nie wprost tylko tak jakbyś ją widział z boku, — o tak. Rozumiesz? Oprawki oczywiście nie rysuję, bo tylko szkło jest naprawdę ważne.

— Rozumiem — powiedział Franek, popatrzył z boku na soczewkę i przekonał się, że rzeczywiście wygląda tak, jak ją Heniek narysował.

— Teraz — mówił Heniek — narysujemy sobie linię, która przechodzi przez środek soczewki i nazywa się osią optyczną soczewki. Rozumiesz?

Franek milczał, bo nie bardzo to mu się wydawało jasne.

Heniek wziął soczewkę, kawałek drutu i pokazał — widzisz jakbyśmy tym drutem przebili soczewkę — o tak — to właśnie ten drut, to byłaby oś optyczna.

— Acha, teraz rozumiem — ucieszył się Franek.

— Teraz uważaj, chcesz skupić promienie słońca w jednym punkcie. Musisz ustawić soczewkę tak, żeby promienie padały na nią równolegle do osi optycznej. O tak, prawda?

— Prawda — zgodził się Franek.

— Na rysunku to będzie tak wyglądało — rysował Heniek.

— Na tę całą soczewkę jak widzisz pada bardzo dużo promieni słonecznych. Wszystkie te promienie przechodząc przez soczewkę zmieniają kierunek, załamią się ku osi optycznej i skupią się w jednym punkcie. O tak. — Tu Heniek dorysował promienie wychodzące z soczewki, tak, że spotkały się one wszystkie w jednym punkcie.

— A dlaczego napisałeś literę F? — zapytał Franek.

— Bo ten punkt nazywamy ogniskiem soczewki, a ognisko po łacinie nazywa się „focus" i tak się zawsze ognisko soczewki oznacza.



— Ognisko soczewki, ognisko soczewki — powtarzał w myśli Franek. — To się bardzo dobrze nazywa — bo rzeczywiście w tym punkcie jest gorąco jak w ogniu.

— Odległość ogniskowa twojej soczewki — mówił Heniek — wynosi 20 cm, to nawet dość dużo. Zobaczymy teraz moją soczewkę.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Anna Orłowska

PROLETARIAT

Głucha noc panowała nad Warszawą. Mroźna styczniowa noc 1886 roku. Słychać było tylko od czasu do czasu kroki spóźnionego przechodnia, albo pies gdzieś zaszczekał i znowu wszystko pogrążało się w ciszy. Antkowi zdawało się, że już długo spał, że już jest późna noc. Przez chwilę nie mógł zrozumieć dlaczego się przebudził, potem zdawało mu się, że coś się w izbie zmieniło i wreszcie uświadomił sobie, że to światło nie dawało spać. Lampa kopciła, w pokoju unosił się zapach sadzy, ojciec siedział wsparty łokciami o stół, z głową nisko zwieszoną. Zasnął tak siedzący, czy co? Antek wyciągnął rękę spod kołdry i pociągnął ojca za ubranie.

— Ojciec, niech ojciec idzie spać.

Ale ojciec nie podniósł nawet głowy. Otrząsnął się tylko i powiedział krótko:



— Śpij — przy czym głos miał zupełnie przytomny, niezaspany.

Jeszcze dwa razy Antek zasypiał i dwa razy budził się a ojciec siedział ciągle w tej samej pozycji z głową nisko nad stołem zwieszoną. Knot tylko u lampy tak obrósł kopciem, że się ino, ino świeciła. Ale ojciec zdawał się nie widzieć tego.

— Może ojciec chory? Zbudzę matkę, niech ziółek naparzy.

Ojciec znowu odpowiedział, ale tym razem w głosie jego brzmiała nuta niecierpliwości:

— Śpij, mówiłem ci. Rano do pracy musisz przecież iść.

Rano, gdy się przebudził, ojca już nie było. Matka mruczała pod nosem, ocierając ukradkiem oczy:

— Ani kolacji nie jadł, ani śniadania. Albo zwariuje, albo jakąś biedę jeszcze na dom i na siebie sprowadzi. Co to się porywać z motyką na słońce? Mądrzejsi, uczeni myśleli i nic nie wymyślili, a on się turbuje...

— Mamo, a co się stało?





Odpowiedzi jednak nie słyszał, bo powietrze nagle przeszył ostry jęk syreny. Wyskoczył więc czym prędzej. Zaspał. Teraz trzeba będzie porządnie nogi wyciągać, żeby na czas zdążyć do pracy.

Mimo, że jeszcze grube ciemności panowały, na ulicy już ruch był i ożywienie. Słychać było człapanie kroków, brzęk blaszanek, głosy rozmów. Zwyczajna godzina poranna, gdy robotnicy idą do pracy.

Przed bramą fabryczną Antek zatrzymał się. W grupce znajomych ujrzał ojca i aż się przestraszył tak ojciec był zmieniony. Oczy zapadły. Głębokie bruzdy zarysowały się na czole i koło ust. Zgarbił się. Antek przysunął się bliżej. Chciał się dowiedzieć, co się stało? Czy ojciec stracił pracę? Ale po co w takim razie szedłby do fabryki? Czy znowu strajk? Ale strajki były i ojciec przeciwnie wtedy bardziej był ożywiony niż zwykle. Antek przysunął się, żeby posłuchać, o czym też rozmawiają. Ojciec go zauważył i powiedział ostro:

— Odejdź!

Ale stary Borkowski przytrzymał chłopca za ramię i powiedział cicho i wyraźnie.

— Nie, niech zostanie. To nie jest tajemnica. Cały świat powinien o tym wiedzieć.

I teraz Antek zauważył, że Borkowski też miał oczy zapadnięte i twarz zmienioną.

— Słuchaj synu — mówił stary — trzymając go ciągle za ramiona — wczoraj rano na stokach Cytadeli powieszono czterech ludzi, którzy dla nas, dla robotników, dla mnie i dla ciebie chcieli lepszego życia. Słuchaj i zapamiętaj sobie ich nazwiska, żebyś dzieciom mógł potem i wnukom opowiadać. Kunicki, Bardowski, Pietrusiński i Ossowski. Oni zginęli, ale nauka ich nie umarła, partia, którą stworzyli żyć będzie i zwycięży...

— Cóż wy tak gadacie — przerwał ktoś — posłyszy kto i bieda gotowa.

— Niech słyszy — odburknął Borkowski.

Potem dopiero, z rozmów z Borkowskim i ojcem Antek zrozumiał, że ci powieszeni z rozkazu cara, ci nieznani bohaterowie, to byli ci sami, którzy wieczorami schodzili się u nich w suterenie na tajne zebrania. Pamiętał ich wszystkich z twarzy, nazwisk tylko wtedy nie znał.

— A ten młody, w okularach, z brodą? To kto? Jego też powiesili?

— Tego nie powiesili, ale ja już go nie zobaczę. To Ludwik Waryński. Na szesnaście lat więzienia go skazali. Już nie wróci...

*

Czterech powieszonych na stokach Cytadeli warszawskiej w roku 1886, to nie są postacie wymyślone. To pierwsi u nas w Polsce bojownicy o wolność robotników. Oni założyli pierwszą partię robotniczą „Proletariat". Ciężka była wtedy walka. Robotnicy byli jeszcze niezorganizowani. Polska znajdowała się pod rządami cara. Panował ucisk i terror. Ci towarzysze nie ulękli się jednak tego. Byli wśród nich rozmaici, byli inteligenci i byli prości robotnicy. Założycielem partii był Ludwik Waryński.

Rząd carski skazał Waryńskiego i kilkudziesięciu innych na długoletnie więzienie i katorgę — czterech na śmierć.

Patrzył Waryński z okien więzienia jak tracono jego najlepszych towarzyszy.

„Kochani — pisał do tych, którzy zostali na wolności — 28 stycznia o godz. 8-ej rano na stokach Cytadeli pod oknami naszego więzienia stracono czterech naszych towarzyszy.

Umierali oni, by żyła sprawa proletariatu. Wy, koledzy, szczęśliwsi jesteście od nas: wy możecie pracować; możecie walczyć. Nie dajcie zginąć sprawie..."

Nie wrócił już Waryński do kraju. Umarł w więzieniu. Na dalekiej katordze zginęli inni. Ale sprawa, o którą walczyli, nie zginęła. Nauka ich nie przepadła. I imię ich po dziś dzień czczą szerokie rzesze robotników.

STARA BAŚŃ

(Wyjątek w skróceniu)

NAOKOŁ śladu człowieka nie dostrzegło oko. Bór jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno pnie grube, jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieniegdzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości mchami, jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali... Na wzgórzu pod dębem leżał kamień wyżłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny... Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz, straszliwą czapką okrytą u góry... Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi, obejrzał niespokojnie dokoła i mijając kamień, splunął nań z pogardą.

W tej chwili dał się słyszeć dziwny świst z krzaków i drzewce ze strzały utkwiło na piersi w grubej sukmanie starszego.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, jakiś dziki, straszny, niby wycie zwierzęcia, okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się i zamilkło...

— Pioruny by w nich biły... i burze — zawołał starszy, warcząc. Znalazło się w krzakach oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana...

— Tyś ranny w nogę Gerda?

Chłopak z oczyma jeszcze obłąkanymi trwogą, wskazywał na nogę skaleczoną.

— No nic to! Jedna strzała polańska — zamruczał rudy. — Oni ich nie zatruwają. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik nie straszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbrojni... ale może zawołać innych, narobić wrzawy... trzeba uchodzić, żeby nas w tym lesie nie zaskoczyli, póki nie dojdziemy do znajomych. Tylko o strzałach, o krwi, o niczym ani słowa. Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał... Niemcami oni nas tam zowią, ludźmi z kraju „niemych“, bo języka ich narodu nie znających, choć my ich mowę rozumiemy.



Słuchaj co gadać będą, zda się to zawsze, ale udawaj, że ci mowa obca... Tak lepiej — milczeć.

W prawo otwarła się łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych otoczona... Poza nią z szałasów jakichś, chałupy z drzewa i chrustu, opasanych tykami wysokimi — dobywał się słup dymu siny... Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznać można było.

Dachy pokryte były kawałami dartymi drzewa, wiszarem i gałęźmi — ściany w słupy z chrustu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb zbudowana, wznosiła się chałupa-dwór, do której wkoło przytykały szopy, z nią razem obejście tworząc, w środku niego znajdowało się małe podwórko.

Dojeżdżając rudy podróżny zwolnił koniowi biegu, oczyma szukając czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbłąkanym tu od wieków kamieniu, ujrzał siedzącego starca, który niepostrzeżony, od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie, prócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą, nieokrytą. Ogromna długa do pasa broda osłaniała mu piersi. W ręku trzymał biały, wysoki kij. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby ani broni. U nóg jego leżały dwa psy do wilków podobne, zaczajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodąc za podróżnymi...

— Pokłon wam, stary Wiszu... — rzekł podróżny, nie zsiadając z konia, uchyliwszy tylko głowę — pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, bo by nas porozdzierały... a my starzy znajomi i dobrzy przyjaciele, choć nie swoi — a nie wrogi. — Słowa te wyrzekł powoli starszy łamaną mową Serbów nadłabańskich, usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

— Zdrów bywaj, Hengo. Cóżeście to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? — rzekł gospodarz.

Rudy powoli z konia zlazłszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał, zbliżał się zwolna do starego.

— Ha! Po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć jak tam gdzie ludzie żyją — począł mówić — przy tym tu jakaś zamiana zrobi się może. Lepiej w spokoju mieniać czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojno, a z życiem razem wydzierać. Ja — wy wiecie — człowiek spokojny, zaopatruję każdego, komu czego trzeba... aby żyć...

Stary się coś zadumał.

— Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie bardzo do rzeczy, które wozicie, swoim się radzi obchodzić. Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzył stary w ziemię i znowu się w sobie zadumał.

— Zda się to przecież, co ja wożę — mówił powoli Hengo. — A skądbyście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili... Do Winety daleko...

— Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć — rzekł stary Wisz wzdychając. — Był czas, że się ludzie tym obchodzili i dobrze im z tym było... Jakoście wy, a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarnek świecących na szyję i iglic gładkich, i guzów, i wszystkich tych zabawek, bez których teraz żadna nie stąpi.

— Nic by to nie było — ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię niż na przybyłego kupca, — ale wy... wy, dróg się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... I tak samo przyjść może napaść, jak przyszły świecidła.

Hengo pokryjomu błyskiem oczów bystrych zmierzył starego Wisza i roześmiał się.

— Próżna to obawa — rzekł — nikt o napaściach nie myśli. Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz...

— Żonę mieliście Serbkę znad Łaby, mówiliście mnie o tym. Ale jakeście do niej przyszli? Hę? Pewnie nie po jej woli?

* * *

Wrócili wysłani z tym, że Niemców nieopodal już słychać było — podpełznąwszy widzieli ich nawet, ale sił obliczyć nie mogli.

Szli zabierając ludzi, spędzając trzody, zagrody paląc, łupy garnąc, jakie pochwycić mogli, kędy się przesunęli, zostawała po nich pustynia i zgliszcza.

Czas było co najprędzej naprzeciw nim wystąpić, aby dalszą zaprzeć drogę, bo każdy dzień ludzi wielu życie i mienie kosztował. Ale straszono gromady walką i uzbrojeniem, a zbierana kupa czeladzi nie starczyła na taką siłę; Dobek więc postanowił ciągnąć cicho, aby ich na noclegowisku napaść śpiących.

Cicho i ostrożnie przerzynać się poczęli lasami, po bokach w prawo i w lewo; Dobek posłał leśnych ludzi, co i po ziemi i po drzewach chodzić umieli — aby przepatrywali, gdzie się nieprzyjaciel znajdował i jak go osaczyć najlepiej.

Drugiego dnia w głębi puszczy naszli na cały obóz niewiast z dziećmi, starców i niedołężnych, z trzodami i dobytkiem, którzy ze dworów i chat zbiegli, chroniąc się przed nieprzyjacielem na niedostępne uroczyska.

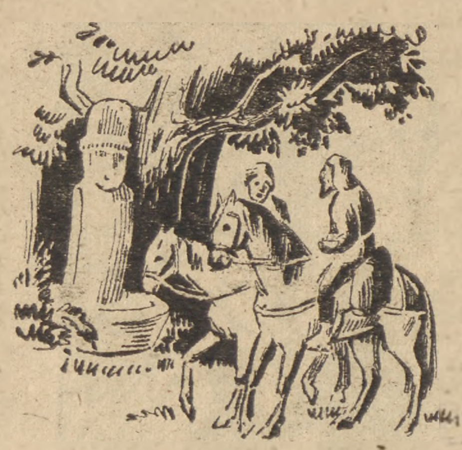
Ze zbiegów złapanych w lesie, stary jeden się podjął drogę ku Niemcom pokazać. Przeleżeli tu do zmierzchu; jak mrok, po cichu wyciągnęły gromady, krajem lasu posuwając się ku północy. Księżyca na niebie nie było i noc okryła ich chmurna.

Szli tak długo, zwracając na różne strony, gdy wreszcie zza drzew ujrzeli w dali szeroko porozkładane, dogasające ogniska.

Dobek wysunął się na przód rozpatrzeć, jak ognie leżały, by po nich siłę nieprzyjaciela policzyć. A było ich [illegible] że rachować przestał, bo mu [illegible] pilno. Nie spodziewali się snać naj[illegible], aby im kto śmiał czoło stawić, i odpoczywali bezpieczni. Gęsty las z jednej strony dozwalał się podkraść niemal do samego obozowiska w dolinie.

W obozie choć usłyszano ten głos, nikt się nie ruszył; sądzili, że który ze swoich znak daje, nie ulękli się i nie spłoszyli. Gwar i śmiechy szły górą.

Wtem z lasu posypali się Polanie pędem lecąc i spadając na karki leżącym, wprzódy nim ci broń pochwycić mogli.



Krzyk straszliwy, ze stu wrzasków złożony, rozległ się, jak grzmot po lesie i już rzeź rozpoczynała się okrutna. Jeńcy też z okrzykiem ruszyli zbrojąc się w głownie i koły, bliższych niewiasty zrozpaczone chwytały za gardła rękami i dusiły, nim na nogi porwać się uspieszyli.

Tylko dalej leżących gromada wstała, lecz w zamieszaniu i popłochu gniotła się sama, zabywszy lecąc to ku jezioru, to na las, gdzie im zastępowano drogę.

Szli Niemcy, pustosząc ogniem i mieczem, lud tylko młodszy wiązali w łyka i gnali ze sobą. Kmieciów schwytanych bez litości na dębach wieszali.

Jęki niewieście, kwilenie dzieci, żałosne wołania starców nie dodały serca Dobkowej gromadzie ale budziły do zemsty.

Zbiegi mówili z przerażeniem o ludziach całych w żelazo pozakuwanych ze szczytami kruszcowymi, od których strzały odskakiwały, których pałki nie brały. Za tarczami tymi stali, jak za murem z żelaza.

Dobkowi serca przybyło i gniewu, gdy mówili mu, że łupiąc zagrody zapijali się, a najadłszy i opiwszy się, nocami, jak wieprze leżeli, dysząc bezsilni... a kto by ich napadł wówczas tylko by wiązać i dobijać potrzebował!

* * *

Zwycięstwo było już wielkie. O północy skończyło się wszystko, radość niezmierna śpiewami rozległa się po lesie. Gdy się powoli uspokoiło wszystko, poszła starszyzna rozpatrywać pobranych, śledząc, czy się między nimi kto z dowódców i znaczniejszych nie ukrywał. Ale ci leżeli twarzami do ziemi i musiano im łby podnosić za włosy, aby zajrzeć w oczy.

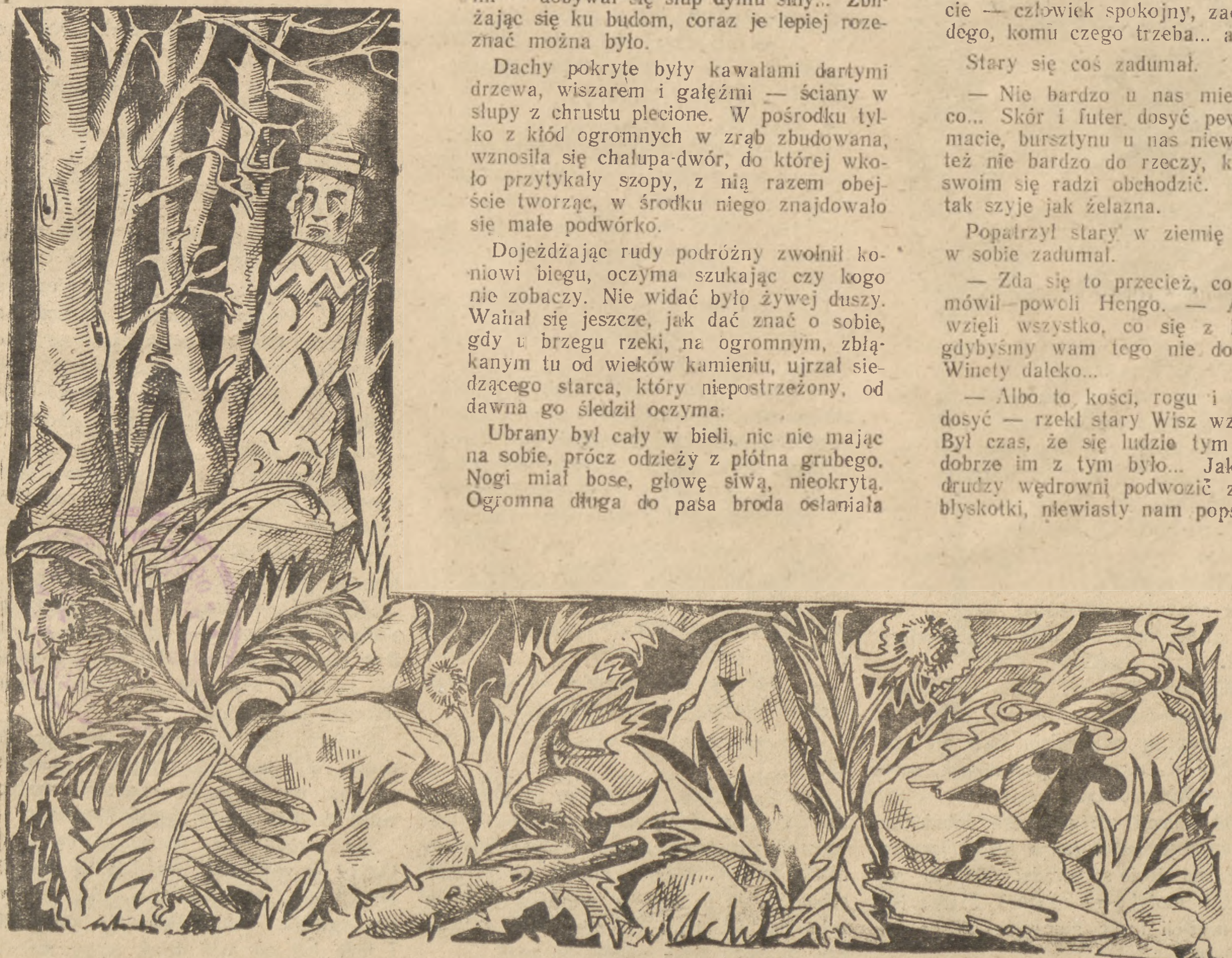
Gdy tak stali, Dobek, Ludek, syn Wiszów i Bolko Kania, potrącając nogami leżących na boku, spostrzegł Ludek człowieka rudego, związanego, który oczyma nań łypnąwszy, głowę prędko za plecy towarzysza ukryć się starał. Wyciągnięto go wnet z kupy za nogi, aż gdy twarz osmalona na jaw wyszła, Ludek zawołał:

— O! ten ci to jest, który ich tu pewnie prowadził, wypatrzywszy wprzódy drogi! Znam ja go, to Niemiec, Hengo się zowie. Z zamianą rzekomo po chatach chodził, był u ojca naszego, łamał chleb z nami, a poznawszy kraj, teraz Niemców—braci przyprowadził, służąc im przeciwko nam...

Dobek krzyknął porywczo:

— Na gałąź z nim!

J. I. KRASZEWSKI





ZOFIA KWIECIŃSKA

Zimowa przygoda

Adaś zatrzymał się niezdecydowanie i rozejrzał się dokoła. W żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie tego miejsca. To była jakaś wielka polana, tak skrząca się w słońcu od śniegu, że aż oczy trzeba było mrużyć. Z polany prowadziło kilka ścieżek, jak błękitne tunele tonących wśród ośnieżonych drzew. Bądźże tu mądry, która z nich do domu prowadzi. Spojrzał za siebie. Daleko, między koronkowymi krzewami migała czerwona czapeczka Helenki. Helenka szła uśmiechnięta i podśpiewywała nawet beztrosko. Pewno, cóż to ją obchodzi? Idzie sobie spokojnie za bratem i ani jej do głowy nie przyjdzie, jak to trudno odszukiwać w lesie drogę.

Adaś zatknął kijki od nart w puszysty śnieg, zdjął rękawice i potarł zmarznięte policzki. Co tu robić?

— Och, jak ślicznie! — wykrzyknęła Helenka, wjeżdżając na polanę. — Jak w bajce. Odpoczniemy tu. Ulepimy bałwana.

Adasia ogarnęła złość, że siostra jest taka spokojna, że tak dziecinnie zachwyca się, podczas gdy on, który znał tu wszystkie ścieżki i zakamarki, teraz stoi bezradnie i nie ma pojęcia, w którą stronę należy iść. A Helenka odpięła już narty i tarza się po śniegu, aż biały pył unosi się w powietrzu.

— Śniegu nasypie jej się za kołnierz, a potem będzie piszczeć, że zimno — z niezadowoleniem myśli Adaś. — Z dziewczętami zawsze tylko kłopot.

— No, trzeba wracać do domu — mówi stanowczym głosem, jak dorosły, i patrzy na kompas. Ale kompas kompasem, można na niego patrzeć do dnia sądnego i nic nie wypatrzeć, szczególnie jeżeli się nie wie, w której stronie ma się znajdować dom.

— Idziemy- — pyta Helenka tak ufnie, że Adasiowi brak odwagi przyznać się, że zabłądził.

Suną znów wąziutką leśną ścieżką. Cisza wkoło, słychać tylko jak lekko poskrzypują narty. I zdaje się, że niebo spadło na ziemię, tak błękitne cienie rzucają wielkie pnie drzew. Ścieżka skręca to w lewo, to w prawo, gubi się wśród zarośli i znów wypływa szeroką śniegową wstęgą, a końca lasu jak nie było tak nie ma. Helenka już przestała śpiewać, coraz wolniej posuwa narty.

— Mnie się zdaje — mówi wreszcie — że myśmy tędy nie szli.

Adaś nie odpowiada nic. Bo i co ma odpowiedzieć? Że zbłądził? Żeby jeszcze zaczęła beczeć?

W milczeniu zawraca i jedzie w kierunku polany. Trzeba będzie spróbować iść tą ścieżką na prawo.

— Dlaczego wracamy? — zaniepokoiła



się Helenka. — Ja już tak zmęczyłam się... — Zaczyna się — myśli Adaś i odpowiada: — Tamtędy będzie bliżej.

Ścieżka na prawo gubi się w lesie i nie można jej odnaleźć. Zawracają znowu, ale i polana znikła gdzieś jak zaczarowana. Helenka niepokoi się już na dobre.

— Adasiu, zabłądziliśmy? Prawda? Boże, co teraz będzie?

— Nie bój się, zaraz znajdziemy drogę. Tu za tymi sosnami powinna być szosa.

Za sosnami zamiast szosy ciągnie się młody zagajnik. Przysadkowate jodełki stoją otulone śniegiem, jak w futerkach. Słońce nie razi już teraz oczu, robi się coraz bardziej czerwone i śnieg traci swoją biel. Zerwał się wiatr, podniósł z ziemi drobne purpurowe iskierki, mróz szczypie w policzki i w nosy.

— Zeszłego roku w lesie zamarzła kobieta z dzieckiem — mówi nagle Helenka i zaczyna pochlipywać. Nie płacze tak jak zwykle, tylko pochlipuje cichutko, wycierając twarz mokrymi rękawicami.

— Nie płacz, bo cię gardło będzie bolało. No, Boże mój, nie płacz, głupia. Co ja z tobą teraz zrobię? Czekaj, tu zaraz będzie droga. To już niedaleko. No, trzymaj się mnie za pasek, będzie ci lżej iść.

Helenka trzyma Adasia za pasek i ledwie nogami porusza.

— Wiesz co? — mówi Adaś — trzeba będzie zrobić sobie lepiankę ze śniegu. Jakuci tak całe życie mieszkają i ciepło im... Zobaczysz...

— Ja chcę do domu... My już nigdy nie wrócimy do domu.

Zagajnik skończył się, znów weszli w las, ale teraz już było tu szaro, tylko pomarańczowymi pasami kładły się na granatowy śnieg ostatnie promienie słońca.

Wtem gdzieś daleko rozległo się szczekanie psa.

— Słyszysz? — ucieszył się Adaś. — Widzisz, mówiłem ci, że tu niedaleko muszą być ludzie.

Teraz idą już prędko, sapiąc i stękając, zmarznięte gałęzie biją w twarz, narty zaczepiają o jakieś kołki i pniaki, ale nie spostrzegają tego nawet. Kochany, nieznajomy pies szczeka ciągle, coraz głośniej, coraz bliżej. I najniespodziewaniej w świecie, tuż przed oczami wyrasta nagle płot, a za płotem, cały w śniegu przycupnął domek, jak wielki biały grzyb. Dym wali z komina kłębami. — Ciepło tam na pewno i przytulnie.

— A wy skąd o tej porze? — W otwartej furtce stoi siwiutki dziadek. To przecież Kalistowski! I to leśniczówka! Jakżeż nie poznali jej od razu?

A potem już było wszystko, jak w prawdziwej bajce. Było ciepło i w piecu trzaskał ogień. Pachniało dymem, kwaszoną kapustą i rozmaitymi ziołami. Dzieci siedziały na wysokiej ławie przy ogniu, kiwając obutymi w wielkie buciory nogami, a na sznurku koło pieca suszyły się przemoczone ubrania. Śmiesznie wyglądała Helenka w kaftanie Kalistowskiej i Adaś w kożuchu dziadka.

Kalistowska krzątała się koło kuchni i mówiła bez ustanku:

— Boże mój, biedactwa ledwie nie zamarzły. Jakżeż to? Zabłądziły dzieciaki w lesie? I staremu trudno tu drogę znaleźć...

Potem postawiła na stole dymiącą miskę kapuśniaku i drugą pełną kartofli. Ach, jakżeż świetne były te kartofle, młodą słoniną kraszone. Potem wszystko zaczęło się kręcić i mieszać i wędrówka przez las, ośnieżone drzewa i ciepła izba i bajki, które opowiadała Kalistowska. Helenka zasnęła z łyżką w ręku, a Adaś zdążył jeszcze mruknąć:

— My musimy wracać do domu... Mama tam się niepokoi... — ale odpowiedzi już nie słyszał. Nie słyszał również, jak i Kalistowska ułożyła go w wielkim łóżku i jak mówiła do męża:

— Trzeba byłoby posłać kogoś na wieś, zawiadomić, że dzieci są u nas. Tam już na pewno szukają ich...

NA ŚLIZGAWCE

Jesteś sobie zuch
na łyżewkach dwóch.

Suniesz zgrabnie w przód,
sam cię niesie lód.

Mróz cię szczypie w twarz,
już rumieńczyk masz.

Czerwonyś jak mak.
A to zdrowo tak!

Coraz to ci lżej
na ślizgawce tej.

Wiatr rozwiewa szal.
Czas wracać, a żal...

LUCYNA KRZEMIENIECKA

POJEDZIEMY

Droga śniegiem wyścielana,
koniś w stajni czeka na nas
I hi, hi!...
Pojedziemy saneczkami,
zadzwonimy dzwoneczkami
dzyń, dzyń, dzyń.
Baranica grzeje w nogi,
nie dokuczy nam mróz srogi.
Nie, nie, nie!
Pojedziemy w świat daleki
do doliny, gdzie są smreki
Dzeń, dzeń, dzeń...
Za smreczkami w krzywej chacie
mieszka ciotka, co ją znacie.
Ho, ho, ho!
Ucieszy się siostrzeńcami,
da nam piernik z migdałami
Oj, to, to!...

L. K.

opr. M. Lutosławska

Zaczarowany czerpak

(Baśń grecka)

I ku wielkiemu zdziwieniu Baucis napełniła z czerpaka obydwa kubki podróżnych. Poczciwa kobiecina nie wierzyła swoim oczom. Przecie wyraźnie widziała dno czerpaka po nalaniu kubków.

— Wspaniałe mleko — zauważył Merkury wychyliwszy drugi kubek — darujcie, gościnna gosposiu, że naleję sobie jeszcze.

Baucis wyraźnie widziała, że Merkury wylał mleko z czerpaka do ostatniej kropli. Dla sprawdzenia przechyliła czerpak, jak gdyby chciała dolać mleka do kubka Merkurego, i mleko polało się obficie na stół ponad brzegi kubka.

— A teraz kawałek razowego chleba, mateczko Baucis — powiedział Merkury — i trochę miodu!

Baucis odkrajała kawałek chleba i ze zdziwieniem spostrzegła, że chleb się odmienił: przestał być suchy i twardy; wyglądał jak świeżo wyjęty z pieca i miał smak wyborny. Miód także stał się złocisty i tak pachniał jak tysiące kwiatów na łące.

Baucis poczuła, że dzieje się coś niezwykłego i przysiadłszy się do Filemona

— Słyszałeś coś podobnego? — pytała z niepokojem.

Ale Filemon uspokajał ją i tłumaczył, że mogło się jej tak tylko wydawać.

Goście sięgnęli po winogrona. Baucis przecierała sobie oczy, żeby widzieć lepiej, ale zdawało się jej wciąż, że grona stają się większe, piękniejsze, prawie pękają od nadmiaru winnego soku.

— Wspaniałe winogrona — zauważył zajadając je ze smakiem Merkury — skąd one są, dobry gospodarzu?

Filemonowi i Baucis ich winogrona wydawały się przedtem zupełnie zwyczajne.

— Nie jadłem nigdy lepszych — upierał się przy swoim Merkury — jeszcze kubek tego wybornego mleka i będę miał królewską wieczerzę.

Tym razem Filemon sam wziął do ręki czerpak, zdawało się, próżny. Ale po chwili z dna buchnęła fontanna świeżego mleka.

— Kto jesteście, cuda czyniący cudzoziemcy? — spytał.

— Jesteśmy twoimi gośćmi i przyjaciółmi, mój dobry Filemonie — odpowiedział starszy podróżny łagodnie. Daj mi także kubek mleka i niech czerpak wasz nigdy nie będzie próżny ani dla dobrej Baucis i dla ciebie, ani dla głodnych przechodniów.

Po wieczerzy Filemon i Baucis odstąpili gościom swoją sypialnię, a sami przespali się obok na podłodze.

Nazajutrz goście wstali o wschodzie słońca i zaczęli się przygotowywać do wyruszenia w podróż.

Wszyscy czworo wyszli z chatki gawędząc między sobą niby dawni przyjaciele.

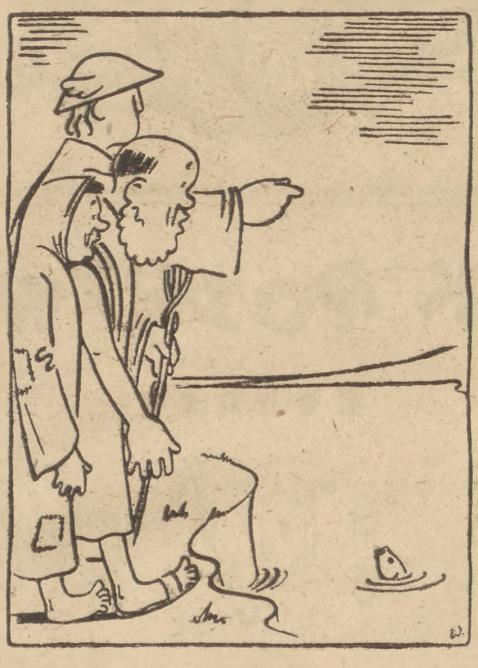
— Mój Boże — mówił Filemon. — Gdyby nasi sąsiedzi wiedzieli, jak to błogo jest móc gościnnie przyjąć podróżnego.— Jeszcze dziś pójdę do nich i powiem im, jacy są niegodziwi i nieużyci.

— Obawiam się — wtrącił ze sprytnym uśmieszkiem Merkury — że nikogo z nich nie zastaniesz w domu.

Twarz starego podróżnego zajaśniała jakimś uroczystym spokojem.

Jeżeli ludzie nie mają braterskich uczuć względem bliźnich — mówił podróżny głosem podobnym do dźwięku organów — nie powinni istnieć na ziemi, która została stworzona, by ludzie na niej czuli się braćmi.

— Ale moi dobrzy przyjaciele — zawołał nagle Merkury z psotnym uśmieszkiem w przymrużonych oczach — gdzie tu jest wioska, o której ciągle mówicie? Z której strony? Nigdzie jej nie widzę!



Filemon i jego żona obrócili się ku dolinie, gdzie wczoraj jeszcze o zachodzie widzieli łąki, domy, ogrody, szeroką, drzewami wysadzoną ulicę, na której bawiły się dzieci. Co za dziw! Wioska znikła, znikła żyzna dolina. Zamiast niej rozpościerała się szeroko błękitna powierzchnia jeziora, które wypełniło całą dolinę ciche i spokojne odbijając w sobie dookolne wzgórza.

— Ach! co się stało z naszymi biednymi sąsiadami? — zawołali staruszkowie.

— Przestali być ludźmi — powiedział groźnie starszy podróżny.

— Życie ich nie było ani pożyteczne, ani piękne. Nie osłodzili nigdy twardego losu człowieczego dobrocią i łagodnością. I dlatego zamiast nich rozpostarło się tu starodawne jezioro, żeby odbijać w sobie niebo.

— Co do was, dobry Filemonie i ty, zacna Baucis — mówił dalej starszy podróżny — wyście okazali tyle serdecznej gościnności przyjmując u siebie bezdomnych podróżnych. Skromna strawa w waszym domu stała się ucztą bogów. Dlatego każde wasze życzenie, które dziś wypowiecie, zostanie spełnione.

Filemon i Baucis spojrzeli na siebie. Jedno z nich — kto — już dziś nie pamiętam wypowiedziało najskrytsze pragnienie obu serc:

— Chcemy żyć zawsze razem i razem umrzeć! Bo kochaliśmy się zawsze.

— Niech się tak stanie! — powiedział cudzoziemiec. — A teraz spójrzcie na waszą chatkę!

Ku wielkiemu ich zdumieniu na miejscu ubogiego domku stał wielki, piękny pałac z białego marmuru.

— Oto wasz dom — mówił — uśmiechając się starszy podróżny — bądźcie w nim tak gościnni dla ubogich wędrowców jak w biednym domku, gdzie nas przyjmowaliście ubiegłego wieczora.

Staruszkowie padli na kolana, by mu podziękować. Ale zarówno starszy podróżny jak i Merkury — zniknęli bez śladu.

Filemon i Baucis zamieszkali w swym pięknym pałacu i żyli szczęśliwie czyniąc dobrze wszystkim, którzy mieszkali naokoło nich. Czerpak zachował swą czarodziejską własność i był zawsze pełen świeżego mleka. Tak dożyli staruszkowie bardzo późnej starości.

Wreszcie nadszedł pewnego lata poranek, kiedy ani Filemon, ani Baucis nie pokazali się gościom. Szukali ich po całym pałacu nadaremnie. Wreszcie po długich poszukiwaniach goście spostrzegli u wejścia dwa drzewa, które tam nigdy nie rosły. Były to: dąb i lipa, wielkie, stare drzewa, głęboko wrośnięte w ziemię i splatające się ze sobą konarami.

Goście patrzyli ze zdziwieniem na te drzewa, które w jedną noc urosły, a wyglądały co najmniej na stuletnie. A kiedy zerwał się lekki wietrzyk, usłyszano cichy, ale wyraźny szelest.

— Jestem stary Filemon! — szemrał dąb.

— Jestem stara Baucis — szemrała lipa.

— Filemon! Baucis! Baucis! Filemon!

Jakiż gościnny cień roztaczały naokoło siebie te drzewa! Podróżny przechodząc obok słyszał cichy szept liści nad swoją głową:

— Prosimy, prosimy, prosimy!

Postawiono ławki naokoło pni, na których każdy spragniony i głodny podróżny mógł odpocząć i posilić się mlekiem z zaczarowanego czerpaka.

Szkoda, że nie mamy takiego czerpaka dzisiaj!

KONIEC

Przyjaciel z za okna





Puk! Puk!

— Kto tam?

— Otwórz, to ja, wróbel!

— A, dobry wieczór, co słychać?

— Bardzo źle, śniegi takie grube. A i do tego zawieja. Jeszczem dzisiaj nic nie jadł.

Rano żona moja była w lesie, myślałem, że coś przyniesie.

Potem synkowie byli w ogródku — też bez skutku.

O sobie już nie mówię: byłem i za górką, i za tymi topolami dwiema. Nigdzie nic nie ma.

Myślałem już, że zginę, to wszystko śnieg dziś zaściela, ale przypomniałem sobie, że mam jeszcze ciebie, przyjaciela.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

KĄCIK ROZRYWKOWY

ŁAMIGŁÓWKA

s	ó	1
ż	a	2
ł	u	3
j	e	4
s	e	5
b	a	6

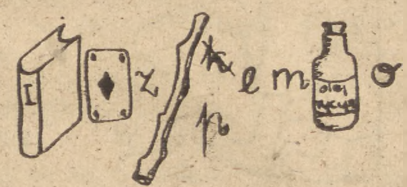
Dopiszcie brakujące litery tak, aby powstało 6 wyrazów trzyliterowych, czytanych poziomo. Litery dopisane są pierwszymi literami nazw zwierząt, należących do rodziny kotów. Nazwijcie te zwierzęta.



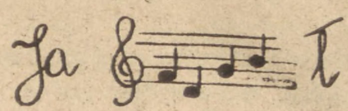
Kubusiowi zginął piesek — owczarek. Pomóżcie mu go znaleźć.

Rebusy

1



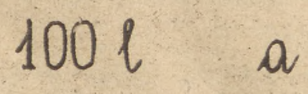
2



3



4



ROZWIĄZANIA z Nr 2 (61)

ZAPLAMIONA KSIĄŻKA:

Czytankę pt. „Pierwszy śnieg“, którą zaplamił kot-Psotek, Karolek choć z trudem, ale odczytał.

Powiastka brzmi następująco:

PIERWSZY ŚNIEG

Dziś w nocy upadł pierwszy w tym roku śnieg. Od razu zrobiło się na świecie jasno, czysto i jakoś wesoło. Jędruś stoi przy oknie i przez szybki spogląda na ogród.

Śnieżna, puchowa pierzynka pokryła ziemię, gałęzie drzew i dachy sąsiednich domków. Każdy kołek w płocie przywdział białą, miękką czapeczkę. Na ścieżkach nie ma jeszcze żadnego śladu, prócz odcisków ptasich nóżek. Widocznie wrony szukały tu pożywienia.

Jędrek odchodzi od okna. Nie ma czasu patrzeć dłużej. Musi jeszcze zjeść śniadanie, spakować książki i iść do szkoły.

— Ale za to na dużej przerwie — obiecuje sobie w myśli Jędruś — wybiegnę z kolegami na podwórko szkolne i ulepimy wielkiego bałwana. Zrobimy mu oczy z szyszek, nos z marchwi, a do ręki włożymy mu drewnianą tabliczkę z wypisanym na niej abecadłem. Na piersiach zaś powiesimy mu tabliczkę z napisem:

Niech się uczy pilnie
Basia, Stacha, Janek,
by ich nie zawstydził
śniegowy bałwanek.

MĘCZYGŁÓWKA:

Nel i Staś są bohaterami powieści Henryka Sienkiewicza pt. „W pustyni i puszczy“; Helena i Jan — „Ogniem i mieczem“ Henryka Sienkiewicza; Oleńka i Andrzej — „Potop“ Henryka Sienkiewicza; Baśka i Michał — „Pan Wołodyjowski“ Henryka Sienkiewicza; Izabella i Stanisław — „Lalka“ Bolesława Prusa; Madzia i Stefan — „Emancypantki“ — Bolesława Prusa.

WIERSZYK DO ZGADYWANIA:

Na miejsce kropek wstawcie następujące wyrazy: *bałwana, nartach, leszczynie, królowę, dłużej, ławą, pomoże, wcale, królowę, skrzydłach* i odczytajcie teraz wierszyk.